

Agnieszka Flatas



Córka
sztukmistrza

RW2010

AGNIESZKA HAŁAS
CÓRKA SZTUKMISTRZA

Pierwodruk: „Science Fiction, Fantasy i Horror” nr 76/2012

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Okładka Copyright © Agnieszka Hałas 2012

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Mgła spowijała ulice Ziegelbergu; nieliczni o tej porze przechodnie wyłaniali się z niej i znikali. Mżył deszcz, widoczny w świetle gazowych latarni. Stella Fenchel przyspieszyła kroku, z determinacją brnąc przez błoto w starych, dziurawych trzewikach. Jej pończochy już dawno zdążyły przemoknąć, a stopy – zdrętwieć z zimna.

Pod pachą niosła nieduży pakunek, owinięty w chustę.

Lombard Mechlera mieścił się w zaułku na tyłach brzydkiej czynszowej kamienicy, jednej z wielu podobnych. Z szyldu oblaźła farba, ale właściciel nie kwapił się go odnawiać. Kto miał tu trafić, trafiał i tak.

Wewnątrz nieprzyjemnie pachniało stęchlizną i naftaliną, ale było ciepło. Na półkach oraz ladzie stały liczne pudła, których zawartości Stella mogła się jedynie domyślać. Właściciel grzał się przy piecyku, z nogami wspartymi na stołeczku. Kartkował rejestr klientów, od czasu do czasu stawiając ołówkiem znaczek przy tym czy owym nazwisku.

– A, to ty – mruknął nieprzyjaźnie, nie wyjmując fajki z ust. – Słuchaj, ta wasza srebrna tabakierka poszła w zeszły czwartek. Mówiłem, że jak jej nie wykupicie...

– Ojciec już nie używa tabaki – powiedziała cicho Stella. Przystąpiwszy próg, ściągnęła beret i teraz żałowała, bo wiedziała, że z potarganymi, sterczącymi we wszystkie strony włosami wygląda jeszcze niechlujniej i żałośniej. Starła się nie spoglądać w stronę uchylonych drzwiczek piecyka, za którymi tak przyjaźnie czerwienił się żar.

– Nie stójże tak, pokaż, co przyniosłaś – przywołał ją do rzeczywistości lichwiarz.

Położyła zawiniątko na ladzie. Palce miała tak zgrabiałe, że nie mogła sobie poradzić z rozsoplaniem węzła. W końcu zniecierpliwiony Mechler odłożył księgę i dźwignął się z fotela, żeby jej pomóc.

Spod chusty ukazał się zwinięty czarny frak. Lichwiarz podniósł go, strzepnął i obejrzał krytycznie.

– Mankiety wytarte. – Skrzywił się. – I krój już niemodny. Pięć marek.

– Pięć... – powtórzyła mimo woli Stella.

Mechler tylko wzruszył ramionami, ssąc ustnik fajki.

– Gałganiarz nie da więcej – skonstatował flegmatycznie.

Stella przygryzła wargę. Frak miał jedwabną podszewkę i – choć używany – był w dobrym stanie, bez jednej plamki. Można byłoby go sprzedać znajomemu handlarzowi za dziewięć, jeśli nie dziesięć marek – tak jak Klotylda sprzedała swoje suknie. Ale to był ukochany frak Fredrika, jego duma. I Fredrik oczywiście łudził się, że jeśli odda go w zastaw, to prędzej czy później frak do niego wróci.

* * *

Wracając, owinęła chustą głowę i twarz dla ochrony przed coraz silniejszym wiatrem. Chodniki opustoszały, zniknęli nawet żebracy, którzy zwykle przesiadywali pod katedrą. Mżawka przerodziła się w zacinający deszcz ze śniegiem. O włos unikając potrącenia przez przejeżdżającą dorożkę, Stella przebiegła przez ulicę, by schronić się w narożnym sklepiku. Pospiesznie zamknęła za sobą drzwi, na których od wewnętrznej strony przyczepiony był spłowiały plakat z pajacem w fartuchu, reklamujący Magiczny Proszek Do Szorowania Frau Fleiss.

Właściciel, gruby i dobroduszny pan Ackermann, nachmurzył się na jej widok.

– To ty? Nic więcej u mnie nie dostaniesz na kredyt! Powiedz swojemu ojcu...

– Przepraszam – szepnęła Stella, kładąc pieniądze na ladzie. – Przyszłam uregulować rachunek.

Sklepikarz jakby trochę się skonfundował. Chrząknął, licząc monety, po czym popatrzył na nią łagodnie.

– Co podać?

– Chleb i paczkę herbaty. Tej najtańszej – dodała ciszej.

– Uważaj na siebie – mruknął pan Ackermann, wręczając jej zakupy i kilka miedziaków reszty. – Co za parszywa pogoda! Niech diabli porwą taką jesień!

Wychodząc ze sklepu, Stella drgnęła, gdy do jej uszu dobiegł odległy, głuchy huk. Raz, potem drugi i trzeci. Czym prędzej podbiegła do wylotu uliczki, skąd było widać rzekę i książęcy zamek na drugim brzegu.

Znad murów unosił się dym – strzelano z dział. I nietrudno było się domyślić, dlaczego.

Ponad zamkiem niczym upiorny motyl zawisła mglista sylwetka człowieka w kapeluszu i długim płaszczu.

Włóczęga.

Splynał nisko i wyciągnął rękę, jakby chciał pochwycić flagę łopoczącą na szczycie najwyższej z wież. Stella patrzyła z otwartymi ustami, zapominając o zimnie.

Na murach zamku błysnął ogień, a od wzgórz odbiło się echo kolejnej salwy. Włóczęga poszybował wyżej, znikając w szarości. Nie pojawił się już. Pojmując, że widowisko skończone, dziewczyna z żalem ruszyła w stronę domu.

* * *

Na ciemnej klatce schodowej cuchnęło stęchlizną i kocim moczem. Schodząc do suterenu, Stella z daleka usłyszała podniesione głosy. Fredrik i Klotylda kłócili się, co nie zdarzało się często. Zaciekawiona zatrzymała się za drzwiami, żeby posłuchać, o co chodzi.

– Nie ma mowy! – dotarł do jej uszu gniewny krzyk macochy. – Nigdy w życiu! Zgłupiałeś? Przecież to jeszcze dziecko!

Sztukmistrz wymamrotał odpowiedź. Klotylda rąbnęła pięścią w stół.

– Dość! Nie chcę więcej o tym słyszeć! Skoro jesteś taki mądry, czemu nie sprzedasz Conchity?

Zapadła cisza; Fredrik widocznie uznał, że nie ma siły kontynuować dysputy. Stella pchnęła drzwi.

– Wróciłam – oznajmiła wesoło, udając, że nie zauważa wiszącego w powietrzu napięcia. Stojąca przy piecu Klotylda zamruczała pod nosem, energicznie mieszając łyżką w garnku; Fredrik leżał w łóżku twarzą do ściany i nie odwrócił się. Tylko Conchita, złoty rajski ptak – ostatnia pamiątka szczęśliwszych dni, gdy jeszcze istniał ich cyrk – powitała dziewczynę melodyjnym ćwierkaniem z wnętrza klatki.

Stella wyplątała się z chusty i płaszcza. Spojrzawszy w pęknięte lustro, przeczesła dłońmi krótkie ciemne włosy. Nie minął tydzień, odkąd sprzedała warkocz perukarzowi. Nawet nie żałowała aż tak bardzo; odrosną.

Z westchnieniem ulgi zrzuciła trzewiki i przysiadła na zydłu, żeby ściągnąć mokre pończochy.

– Widziałam Włóczęgę – oznajmiła, wyciągając bosc stopy w kierunku pieca.

Zapominając, że jest obrażony na Klotyldę i cały świat, Fredrik usiadł.

– Gdzie?!

– Nad zamkiem. Strzelali z armat, żeby go odpędzić.

– Ot, zabobony – mruknęła Klotylda, nadal zawzięcie mieszając w garnku.

– Nie żadne tam zabobony – zaprotestował z błyskiem w oku sztukmistrz. – Jeśli Włóczęga zawiśnie na dłużej nad czyimś domem, zwiastuje śmierć. Cały Ziegelberg o tym wie. Ciekawe, kto umrze tej nocy na zamku.

– Słyszałam parę dni temu, jak pan Ackermann mówił klientce, że Włóczęga zeszłego lata przepowiedział zgon burmistrza i kilku radców, kiedy w mieście grasowała cholera – podchwyciła dziewczyna. – I że wiele by dali, żeby go stąd przepędzić, ale nie potrafią. Książę prosił już o pomoc czarodziejów i astrologów z Nurenbergi, Prah, a nawet z Krakovu, obiecał nagrodę... Ale bez skutku.

– Stello, wyjmij łyżki – poprosiła Klotylda, zestawiając kaszę z ognia.

Fredrik dostał swoją porcję na jedynym talerzu, jaki im się jeszcze ostał; one dwie jadły przy stole, prosto z garnka. Stella była tak głodna, że do głowy by jej nie przyszło grymasić na rzadką, pozbawioną smaku, szarą breję. Gdyby Klotylda

ugotowała tę kaszę jak należy, zamiast ją rozklejać w dużej ilości wody, na pewno nie starczyłoby dla trojga.

Sztukmistrz nie miał apetytu. Niemrawo grzebał łyżką w talerzu, gdy one już dawno skończyły jeść.

– Bez soli – zauważył markotnie.

Klotylda, która krzątała się teraz wokół samowara, wzruszyła ramionami.

– Skończyła się. Nie kupiłaś soli? – zwróciła się do pasierbicy. Ta potrząsnęła głową.

– Nie starczyło mi pieniędzy.

– Ale byłaś u Mechlera?

– Tak. – Stella zmarkotniała na samo wspomnienie.

– Ile dostałaś?

– Pięć marek.

Na chwilę zapanowała cisza.

– Cholerny złodziej – wymamrotał w końcu Fredrik. – A żeby go pokręciło!

– Przepraszam – dorzuciła cichutko dziewczyna.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina. – Klotylda podała jej kubek. – Pij, póki gorące. Jeszcze tego brakuje, żebyś i ty się rozchorowała.

Stella upiła łyżeczek parującego płynu. Słaba, niesłodzona herbata nie była smaczna, ale przynajmniej rozgrzewała.

– Mogę dostać jeszcze kawałeczek chleba? Taki malutki?

Macocha ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Chleb trzeba zostawić na jutro, kotku. Kasza też już się nam kończy.

* * *

Chmury wisiały nisko nad dachami. Mżyło.

Co za beznadziejny dzień, myślała Stella, mechanicznie podrzucając i łapiąc skórzane piłeczki. Co i rusz traciła rytm, upuszczała którąś. Diabelnie trudno się zonglowało, mając zgrabiałe palce.

Było zbyt zimno i mokro, żeby założyć trykot i pokazywać na bruku sztuki gimnastyczne. Śpiewać nie miała siły, bolało ją gardło. Stała więc w swoim wysłużonym codziennym ubraniu i zonglowała tak niezdarnie, że jej samej było wstyd.

Przechodnie mijali ją obojętnie. Na rynku panował zresztą mniejszy ruch niż zazwyczaj – część przekupniów wcześniej zwinęła kramy.

Nie przestając zonglować, Stella uniosła głowę, żeby sprawdzić godzinę na zegarze zdobiącym fronton ratusza. I drgnęła. Ponad dachami szybowała niewyraźna postać w płaszczu i kapeluszu, ledwie widoczna na tle szarego nieba.

Dziewczyna zagapiła się nań. Z łatwym do przewidzenia skutkiem. Ktoś z przechodzących zaśmiał się drwiąco, ktoś inny zagwizdał.

Włóczęga odpłynął z wiatrem, znikając za linią dachów.

Zaciskając zęby, Stella pozbierała piłeczki. I omal nie upuściła ich znowu, kiedy zobaczyła, kto nadchodzi.

Klown Albert, dla swej niezwyklej chudości ochrzczony przez Fredrika Pajakiem. Ich Albert, który na występy zakładał kuse czerwone portki, rudą perukę i przyprawiał sobie drewniany nos. Umiał naśladować głosy wszelkich możliwych zwierząt, znał niewyczerpany zasób pieprznych żarcików, potrafił rozbawić i rozruszać najbardziej niemrawą publiczność.

Ledwie go poznała; był elegancko ubrany, przytył i zapuścił modną, krótką bródkę.

Uśmiechnęła do niego, pomachała ręką. Była pewna, że Pajak roześmieje się z daleka, przywita ją, może zaprosi do kawiarni na herbatę i ciastko.

Myliła się. I to jak. Popatrzył na nią i bez słowa przeszedł obok. Stella najpierw zaniemówiła, potem cisnęła piłeczki na ziemię i pobięła za nim.

– Albert! Hej, Albert!

Już myślała, że ją zignoruje, ale nie. Przystanął, odwrócił się.

– O, Stello, to ty? Nie poznałem cię – skłamał beczelnie. – Witaj. Jak się miewa Fredrik? Wyzdrowiał?

– Nie, nadal choruje. Jest z nim coraz gorzej – dodała, patrząc Pająkowi w oczy z nadzieją, że jednak zbudzi się w nim sumienie. Zawiodła się.

– O, to fatalnie. – Albert nie wyglądał na zmartwionego. – No cóż, pozdrów go ode mnie. Wybacz, spieszę się.

* * *

– Taka niewdzięczność. – Klotylda potrząsnęła głową, bardziej ze smutkiem niż z gniewem. – Przygarnąłeś go z ulicy, pamiętasz?

Fredrik tylko wzruszył ramionami, udając, że całkowicie pochłania go układanie pasjansa na kołdrze. Conchita zakwiliła smutno.

Stella otworzyła drzwiczki klatki, żeby wstawić do środka miseczkę ze świeżą wodą i drugą z ziarnem. Ptak popatrzył na nią mądrymi, ciemnymi oczami. Wyraźnie dało się w nich odczytać zapytanie, czy jest szansa na coś jeszcze.

– Nic innego nie mamy – powiedziała przepaszająco dziewczyna. I jak za każdym razem Conchita skinęła łebkiem, jakby rozumiała, że nie stać ich na owoce i orzechy.

Stella ze smutkiem zauważyła, że jej złote pióra wyraźnie straciły blask, zmatowiały, a w niektórych miejscach zaczęły zmieniać barwę. Okazały niegdyś ogon zwisał smętnie, podobny do wystrzępionej miotłki.

– Conchita szarzeje – szepnęła do macochy, upatrzwszy dogodną chwilę, gdy Fredrik bez reszty zajęty był swoim pasjansiem.

– Wiem, zauważyłam już jakiś czas temu – westchnęła Klotylda, która cerowała przy oknie stertę pończoch. Cudzych. Dostawała za to grosze, ale te grosze w

połączeniu z tym, co przynosiła Stella, od biedy starczyły przynajmniej na czynsz. Inaczej dawno wylądowałyby na ulicy. – Nic na to nie poradzimy, kotku.

– Co jej jest?

– Za mało słońca, za zimno, za marne jedzenie. Może szkoda, że ten handlarz jej wtedy nie kupił... U niego miałyby lepiej.

– Co tam szepczecie? – Fredrik zgarnął karty w stosik, przetasował. – Stello, chodź tu – polecił, nie czekając na odpowiedź. – Nauczę cię tej sztuczki z trzema damami i asem.

Stella w pierwszej chwili ucieszyła się – do tej pory ojciec uczył ją tylko najprostszych sztuczek. Potem poczuła ukłucie niepokoju, bo przypomniała sobie, co często mawiał półzartem – że przed śmiercią zadba o to, aby przekazać komuś swoje zawodowe tajemnice.

– Jutro mi pokażesz, teraz już się ściemnia. Lepiej opowiedz coś – poprosiła, siadając w nogach łóżka. Wiedziała, że ojciec nie da się długo namawiać.

– Dobrze, trzypocie. O czym chcesz posłuchać?

– Opowiedz mi o Włóczędzie.

– Jesteś pewna? – zdziwił się. – To smutna historia, Stello. I nie znam jej w szczegółach.

– Nie szkodzi. Opowiedz mi to, co wiesz. Kim on właściwie jest, czy raczej był?

Fredrik potarł czoło, syknął z cicha, gdy przy nieostrożnym ruchu guz pod pachą odezwał się bólem.

– Z tego co mi wiadomo, Włóczęga nazywał się kiedyś Arne Tilsen i był czarodziejem. Ani dobrym, ani złym, po prostu czarodziejem. Pochodził z daleka, aż z Danمارku. Kształcił się w Kopenhavn oraz Nurenberdze i z biegiem lat szeroko zasłynął swoim kunsztem. Podobno umiał przemieniać zwierzęta w ludzi, a ludzi w zwierzęta, konstruować latające kufry, gadające szkatułki i inne fantastyczne przedmioty.

– Mistrzowie lalkarscy z Prah umieją konstruować tańczące lalki i nie potrzebują do tego żadnej magii – wtrąciła ni w pięć, ni w dziewięć Klotyllda znad pończochy z wielką dziurą na pięcie.

– Tańczące lalki! – prychnął Fredrik. – Bawiąc na dworze królowej angielskiej, Włóczęga ofiarował jej drzewko ze złota, które na wiosnę kwitło rubinowymi kwiatami, a także słowika wysadzanego diamentami, który śpiewał piękniej niż prawdziwe słowiki. Nie muszę wam mówić, że i złoto, i klejnoty zostały wyczarowane z powietrza.

– Nie, to już chyba bajki – uśmiechnęła się Stella.

– Tak głosi wieść, nie wiem, ile w tym prawdy. Pewnego razu, gdy Włóczęga zjawił się tu w Ziegelbergu, księżę poprosił go o przysługę. Musiało to być coś sprzecznego z honorem czarodzieja, bo Tilsen odmówił. I poniósł tego konsekwencje.

– Zabito go?

– Tak i nie. Pierwszy czarodziej dworu wyzwiał go na pojedynek, pokonał i pozbawił mocy, a Tilsen jeszcze tego samego dnia popełnił samobójstwo. Jedni mówią, że wypił truciznę, inni, że rzucił się z zamkowej wieży, dość że zabił się, bo nie mógł znieść perspektywy życia bez daru. Teraz jest podwójnie przeklęty – jako czarodziej, który postradał dar, i jako samobójca. I w pochmurne dni dryfuje nad Ziegelbergiem, zwiastując nieszczęście, gdziekolwiek się pojawi.

– Nadworni czarodzieje nie przewidzieli takiego obrotu spraw?

– Ależ przewidzieli, a jakże. Od początku było jasne, że z tej śmierci wynikną same kłopoty. Nawet próbowano przedsięwziąć, jak by to rzec, środki zapobiegawcze. Wiesz, co zrobili z jego ciałem?

– Przestań jej opowiadać takie okropności! – zniecierpliwiła się Klotyllda, ale Fredrik zignorował ją.

– Wzdragali się dotykać zwłok, bo bali się, że jego duch kogoś opęta. Więc oblali jego ciało naftą, obłożyli drewnem i podpalili. Ogień podtrzymywano w tym

miejscu przez kilka dni i nocy, a popiół wymieszano z solą i rozsypano na cztery strony świata.

– Ale on i tak powrócił. – Stella odruchowo popatrzyła w górę. Za brudnym okienkiem sutereny szarzał zmierzch.

– Powrócił. Choć trudno dociec, ile w nim zostało z tego, kim był wcześniej.

– Dosyc tej gadaniny – oświadczyła stanowczo Klotylda, która odłożyła pończochy, bo zrobiło się za ciemno, żeby dłużej nad nimi ślęczyć, i właśnie przebierała się w nocną koszulę. – Stello, szykuj się do spania, póki cokolwiek widać. Nie mamy już ani jednej świecy.

* * *

Tej nocy Stella śniła, że tonie.

Pograżała się coraz głębiej w czymś lepkiem, co zalewało jej usta i zaklejało powieki. Próbowwała krzyczeć, szamotać się, lecz maż uniemożliwiała ruchy, tłumila dźwięki... Dziewczyna ocknęła się z bijącym sercem i już do rana nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczami, słuchając, jak Klotylda pochrapuje miarowo, a ojciec oddycha ciężko, od czasu do czasu przewracając się z boku na bok.

W następnych dniach stan Fredrika gwałtownie się pogorszył. Guz pod pachą powiększył się i stwardniał. Sztukmistrz jęczał i uskarżał się na bóle, nie mógł jeść ani spać. Laudanum nie pomagało, a na lekarza nie było pieniędzy.

– Nie mamy wyboru – stwierdziła w końcu Klotylda, odwoławszy pasierbicę na stronę. Po kolejnej nieprzespanej nocy obie ledwie trzymały się na nogach. – Idź po handlarza. Musimy sprzedać Conchitę.

Stella wyszła z ciężkim sercem. Wiedziała, że Fredrik, gdy tylko poczuje się lepiej, zacznie je obie zadręczać wymówkami. Na domiar złego Conchita przez ostatnie dni zszarzała tak, że trudno było ją poznać. Handlarz, ledwie przyszedł i rzucił na nią okiem, złapał się za głowę.

– Jak można trzymać rajskiego ptaka w takich warunkach? Czym wyście ją karmili?! Teraz miną miesiące, zanim odzyska złotą barwę!

Choć poprzednio oferował osiemdziesiąt marek, teraz nie chciał dać więcej niż dziesięć, i to za ptaka razem z klatką. Stella była pewna, że macocha straci cierpliwość i pogoni go do wszystkich diabłów. Ale Klotylda zgodziła się bez targów, z rezygnacją świadczącą, że jest u kresu sił.

Klatka została zestawiona z szafy na podłogę, a handlarz wyjął pieniądze. Przelykając łzy, Stella przyklękła, żeby się pożegnać.

– Conchito, proszę, stań się znowu złota – szepnęła, wsuwając dłoń przez pręty, żeby po raz ostatni pogłaskać ptaka po miękkim łebku i dotknąć pięknego niegdyś, a teraz doszczętnie zmarniałego ogona.

Conchita zakwiliła, patrząc smutno na Fredrika, który leżał bez ruchu, z wykrzywioną cierpieniem twarzą.

* * *

Lekarz, który ich znał, zażądał zapłaty z góry, zanim w ogóle wybierze się do chorego. Na widok dziesięciu marek początkowo zmarszczył brwi i pokręcił głową, ale uległ, widząc łzy w oczach Stelli.

– Tylko dlatego, że mam córkę w twoim wieku – mruknął, pakując instrumenty do torby.

Badał Fredrika długo, a na koniec poklepał go po plecach, zalecił laudanum cztery razy dziennie oraz rosół i grzane wino. Stella z trudem powstrzymała się, żeby mu czegoś nie powiedzieć.

Gdy lekarz już miał wychodzić, wywołał Klotyldę na korytarz. Wróciła blada, z zaciśniętymi ustami.

– Mówi, że to już niedługo potrwa – szepnęła.

* * *

Pan Ackermann na widok Stelli potrząsnął ze smutkiem głową.

– Nie, kotku, nie sprzedam wam chleba. Jesteście mi winni czterdzieści marek. Przykro mi, dziecko.

Może gdyby błagała go z płaczem, dałby się uprosić. Ale w sklepie byli jeszcze inni klienci i coś w Stelli zaprotestowało przeciwko urządzaniu scen. Nie umiała się tak upokorzyć, jeszcze nie. Skinęła pokornie głową i wybiegła stamtąd, żeby nie wdychać dłużej zapachu pieczywa, przypraw i słodocy.

Z braku lepszego pomysłu ruszyła w stronę rynku. Nie jadła nic od poprzedniego wieczora i miała uczucie, że wiatr przewiewa ją na wylot. Kałuże szkliły się lodem, w powietrzu wirowały płatki śniegu, a sądząc po wyglądzie nieba, wkrótce miało spaść go więcej.

Na rynku panowały pustki. Stella jak zwykle miała piłeczki w kieszeni, ale ogarnęło ją takie zwątpienie, że nawet ich nie wyjmowała, tylko usiadła pod murem pierwszej lepszej kamienicy, nie dbając ani o to, że bruk jest mokry i zimny, ani o to, że zabrudzi i tak już niezbyt czysty płaszcz. Z nawyku postawiła przed sobą miseczkę, nie łudząc się jednak, że ktoś wrzuci do niej choć jednego feniga.

Patrzyła, jak śnieg pada coraz gęściej, a myślami była bardzo daleko. Wspominała szczęśliwe dni, kiedy jeszcze całą trupą jeździli od wioski do wioski, od miasta do miasta. Trzy kolorowe wozy, szyld z królikiem w cylindrze. Występy, oklaski tłumu. Wieczory, gdy rozbijali obozowisko gdzieś w lesie albo w polu...

Przełknęła łzy, gdy przed oczami stanęła jej cała kompania zebrana przy ognisku. Fredrik, wtedy jeszcze nie tak wychudzony i blady jak śmierć, lecz zdrów, przystojny, tryskający humorem. Klotylda, jego piękna asystentka, z którą ożenił się w rok po śmierci pierwszej żony. I reszta. Klown Albert, wołyżerka Nina, siłacz Igor... Kristoff, wytatuowany na całym ciele zongler i połykacz noży... Tresowany niedźwiedź Bodo, który umiał tańczyć walca i chodził za Klotyldą jak pies... Manfred, gruby opiekun Boda, który składał Klotyldzie nieprzyzwoite propozycje

przy wszystkich, mimo że kiedyś za szczególnie bezczelną odzywkę zdzieliła go po głowie warząchwia...

Stella zmusiła się, żeby odepchnąć wspomnienia, zanim rozplacze się i nie będzie mogła przestać.

Nagle jej uwagę przykuł mężczyzna nadchodzący ulicą. Wysoki, w czarnej pelerynie, miał w sobie coś niesamowitego, zmuszającego, żeby na dłużej zatrzymać na nim wzrok. Jego oblicze o żółtawej cerze i czarnych zmarszczonych brwiach, zeszpecone śladami po ospie, było posępne niczym wieko trumny.

Ku jej zaskoczeniu nie przeszedł obojętnie obok. Pochylił się, wrzucił do miseczki złotą monetę. Ale zamiast się wyprostować i pójść dalej, popatrzył jej z bliska w oczy.

– Nazywasz się Stella Fenchel, prawda? Słyszałem, że twój ojciec jest umierający. – Zniżył głos do szeptu. – Powiedz mu, że Markus Wachs ponawia ofertę.

* * *

– **J**ak ty wyglądasz! – przywitała ją od progu Klotylda. – Co ci przyszło do głowy, dziewczyno, żeby tkwić na rynku w taką pogodę?!

Stella chciała odpowiedzieć, ale złapał ją kaszel. Ręce miała tak zmarznięte, że z trudem radziła sobie z guzikami płaszcza. Macocha pomogła jej szybko.

– Marsz do łóżka, ale już! Stello, czyś ty postradała rozum? Co pocznę, jeśli i ty się rozchorujesz?

– Przyniosłam coś. – Dziewczyna wyjęła z kieszeni monetę, którą dostała od człowieka w pelerynie. Oczy Klotyldy rozblęły.

– Dziesięć marek?! Kto ci dał tyle?

– Ktoś, kto się przedstawił jako Markus Wachs.

– Wysoki, ospowaty, ubrany na czarno? – Radość Klotyldy natychmiast znikła.

– Cholera, tylko nie to! Po co brałaś od niego pieniądze?

– A skąd miałam wiedzieć, że nie powinnam? – obruszyła się Stella, ściągając pończochy. – Kim jest ten cały Wachs?

– To stary znajomy Fredrika. Ma sklep z lalkami w zaułku niedaleko katedry. Mniejsza z tym, Stello. Rozdziewaj się, wskakuj pod kołdrę. Zaraz ci zrobię herbaty, to się rozgrzejesz.

Zakrzętnęła się wokół samowara i dziewczyna wkrótce dostała kubek z herbacianą lurą. Jednak tym razem gorący napój nie pomógł. Dygotała, szcękając zębami.

– Masz gorączkę – stwierdziła macocha, dotykając jej czoła. – I co teraz? Widzisz, co narobiłaś?

– Może do jutra mi przejdzie. – Stella przełknęła ślinę; drapało ją w gardle. – Czego od nas chce ten cały Wachs? Kazał powtórzyć Fredrikowi, że ponawia ofertę.

– Już ja mu ponowię, jak go spotkam! – wybuchnęła Klotylda, ale zreflektowała się i zniżyła głos, żeby nie zbudzić chorego. – Co za bezczelność! Mam nadzieję, że nie postanowi znowu tutaj przyjść. A zresztą niech spróbuje, to się dowie, co o nim myślę. Nie waż się mówić Fredrikowi, żeś go widziała.

– To on już był u nas?

– Był, a jakże. Nie dalej jak miesiąc temu. Tego dnia, kiedy poszłaś zanieść Mechlerowi frak.

Dziewczyna przypomniała sobie podsłuchaną kłótnię. Zaczęło jej świtać niejasne podejrzenie.

– O co się wtedy kłóciliście z Fredrikiem? O jakiej ofercie mówił Wachs?

– Wachs zainteresował się tobą, Stello. Widział cię już wcześniej podczas występów i, co tu dużo mówić, wpadłaś mu w oko. Zaoferował, że się tobą zaopiekuje. Rozumiesz już?

Stella, wychowana w cyrkowej trupie, a nie w rygorach mieszczańskiego domu, pojęła w lot i w pierwszym odruchu miała ochotę się roześmiać.

– Poważnie? I co na to mój ojciec?

– Fredrik? Ach, szkoda gadać, wiesz, jaki potrafi być naiwny. Uroił sobie, że Wachs się z tobą ożeni i będziecie szczęśliwi. Za trzysta marek oddałby cię temu ospowatemu przykowi. – Macocha przytuliła ją mocno. – Może niepotrzebnie ci to wszystko powiedziałam. Stello, nie martw się. Nie pozwolę, żebyś wpadła w łapy tej kreatury.

Za jej plecami sztukmistrz poruszył się, jęknął z cicha. Klotylda obejrzała się, przestraszona, że słyszał ich rozmowę, ale wyglądało na to, że nie, że wciąż jeszcze śpi po ostatniej dawce laudanum.

Stella otuliła się kołdrą. Nadal dygotała od dreszczy, ale równocześnie czuła, że powieki coraz bardziej jej ciężą.

– Co zrobimy, kiedy Fredrik umrze? – zaszepiała sennie. – Dokąd pójdziemy?

– Najmiemy się do służby w jakimś porządnym domu. Poradzimy sobie, kotku, wszystko będzie dobrze, zobaczysz. – Klotylda pogłaskała jej krótkie włosy. – Nie myśl teraz o tym. Śpij. Obyś mi tylko nie dostała zapalenia płuc.

* * *

Tej nocy Stella miała dziwny sen.

Śniła, że frunie. Czarne niebo mrugało gwiazdami, a ona w nocnej koszuli szybowała wysoko nad miastem. Na ulicach i dachach bieleł się śnieg, lecz nie czuła chłodu.

Potem miasto zostało za nią. Leciwała dalej nad zimowym, odrealnionym krajobrazem, zalany księżycową poświatą. W końcu opadła na ziemię na skraju lasu, w cieniu ośnieżonych świerków. I ujrzała, że nie jest sama.

Ktoś czekał nieopodal, patrząc w kierunku miasta. Najpierw zdawało jej się, że to Markus Wachs w swojej czarnej pelerynie. Ale gdy się zbliżyła, a on się odwrócił, z biciem serca poznała płaszcz, kapelusz i szal zasłaniający twarz.

– Nareszcie jesteś – powiedział Włóczęga, wyciągając ręce. – Chodź.

Podeszła bez lęku, wiedząc, że nie musi się bać, bo przecież tylko śni.

Objął ją i przytulił. Zadrżała, ale nie ze strachu. Tu, we śnie, Włóczęga nie był postacią z mgły. Był materialny, tak bardzo rzeczywisty. Wyraźnie czuła ciepło jego ramion.

– Ze mną byłabyś bezpieczna – szepnął. – Ja też jestem samotny, Stello.

– Czego ode mnie chcesz, Arne? – spytała, patrząc mu w oczy, odważna odwagą snu. – Przecież od dawna jesteś martwy.

– Nie przeczę – uśmiechnął się. – Ale nie straciłem do końca mojej mocy. Udowodnię ci to. Obudzisz się zdrowa.

* * *

Stella otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że nie ma gorączki. Czuła się zupełnie dobrze.

Gdy przypomniała sobie swój sen, zrobiło jej się odrobinę nieswojo. Ale nie rozmyślała nad tym długo, bo jej uwagę przykuł leżący na stole nadkrojony bochenek chleba. Na sam widok ślinka napłynęła jej do ust.

– Klotyldo?... – zawołała z niedowierzaniem. – Skąd mamy chleb?

– Klotylda wyszła do apteki – odezwał się słabym głosem sztukmistrz. Nie spał; leżał wsparty o poduszki, z ręką odchylną tak, by nie urazić chorego miejsca. – Jedz na zdrowie. Przyniosłaś wczoraj dziesięć marek, nie pamiętasz?

Stella nie dała sobie dwa razy powtarzać – czym prędzej odkroiła pajdę. Jedząc, zaczęła się ubierać. Perspektywa spędzenia kolejnego dnia na zimnie nagle stała się dużo mniej przerażająca.

– Słyszałem wczoraj, jak rozmawialiście – przemówił z wahaniem Fredrik. – Stello, mam prośbę. Nie wyrabiaj sobie opinii o Markusie na podstawie tego, co mówi Klotylda. To porządny człowiek. Znałem go, gdy był jeszcze czeladnikiem. Zaprzyjaźniliśmy się po tym, jak jego mistrz... zresztą nieważne. Grunt, że znam Markusa z dawnych lat.

– Ale z tą ofertą to prawda?

– Owszem. Czemu tak cię to dziwi? Jesteś śliczną dziewczyną, spodobałaś mu się. Ale przyjąłby cię pod swój dach również ze względu na mnie. Bo nie chciałby, żeby córka Fredrika Fenchel głodowała i marzła w tym parszywym Ziegelbergu.

– I uważasz, że powinnam się zgodzić?

– Uważam, że powinnaś to rozważyć. – Fredrik westchnął. – Wierz mi, nie byłoby ci u niego źle.

– A gdybyśmy się najęły do służby, tak jak mówi Klotylda...

– Klotylda tak mówi, ale to nie będzie łatwe, Stello. Zwłaszcza w twoim przypadku. Pamiętaj, że nie macie referencji, a każdy, kto popatrzy na twoje ręce, od razu pozna, że nie wyszorowałaś w życiu zbyt wielu podłóg. Klotylda to co innego, zanim przystała do naszego cyrku, miała się różnych zajęć. Teraz bieduje tylko przez nas, przeze mnie, bo jestem dla niej kulą u nogi, a gdyby została sama, poradziłyby sobie. Jak Albert, Igor i cała reszta kompanii.

Stella zawahała się, zanim zadała na głos pytanie, które chodziło jej po głowie już od jakiegoś czasu.

– Boisz się, że Klotylda mnie zostawi, kiedy umrzesz?

– Nie, córeczko. – Fredrik popatrzył jej prosto w oczy. – Ona cię nie zostawi. I tego właśnie się boję. Że jeśli będzie zmuszona troszczyć się o ciebie, obie skończycie na ulicy.

Nie znalazła na to odpowiedzi.

– Ile lat ma ten cały Wachs?

– Mniej niż ja. – Sztukmistrz uśmiechnął się blado. – Wiesz, jestem pewien, że spodobałyby ci się jego dzieła. Markus kilka lat terminował w Prah i umie robić zadziwiające rzeczy. Jego lalki wyglądają jak żywe, spacerują, uśmiechają się... Książę zakupił kilka dla swoich córek. Jest księciem, więc go stać.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie, Stello. – Fredrik spoważniał. – Przyrzeknij mi, że się zastanowisz, dobrze?

– Dobrze – skłamała, czując nagły ucisk w gardle.

W jakiś czas później, idąc na rynek z piłeczkami w kieszeni, odwróciła się na rogu ulicy i zamarła.

Włóczęga. Nad naszą kamienicą.

Szara sylwetka trwała w bezruchu tuż nad krawędzią dachu. Nawet z tej odległości Stella miała wrażenie, że czuje na sobie jego wzrok.

Usłyszała stuk kopyt, turkot i cofnęła się pospiesznie na chodnik przed nadjeżdżającym dylizanssem. Gdy ponownie podniosła oczy, widmo zniknęło. Już nie była pewna, czy to naprawdę on, czy tylko kłęby dymu buchające z komina sąsiedniego domu ułożyły się na moment w zarys postaci.

* * *

Fredrik zmarł tej samej nocy.

Śmierć zabrała go cicho i zdradziecko. Wieczorem był jeszcze przytomny i w stosunkowo dobrej kondycji. Zjadł kilka łyżek kaszy, ułożył pasjansa, przekomarzał się z Klotyldą. Stella jak zwykle pocałowała go na dobranoc i położyła się spać w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. A po kilku godzinach obudził ją pełen rozpaczony krzyk macochy.

To, co nastąpiło potem, zapamiętała jak przez mgłę. Lekarz, jakieś papiery do podpisania. Najtańsza trumna, ponury grabarz, wóz zaprzężony w kulawą szkapę. Cmentarz, cichy i posepny w zapadającym zmierzchu; płatki śniegu osiadające na grudach ziemi, krakanie wron. Fredrik Fenchel został złożony na wieczny spoczynek we wspólnym, bezimiennym grobie dla biedoty.

Dopiero po powrocie do domu uderzyła w nie pustka. Płakały razem, skulone na łóżku w przeraźliwie zimnej izbie; nie miały za co kupić opału, bo wszystkie pieniądze, jakie im jeszcze zostały, poszły na opłacenie pogrzebu.

* * *

Było tak, jak przepowiedział Fredrik. W poszukiwaniu pracy odwiedziły wiele mieszczańskich domów, ale bez skutku.

Cztery dni później do ich drzwi zastukał gospodarz i od progu oznajmił, że jeśli w ciągu tygodnia nie zapłacą czynszu za ostatnie dwa miesiące, mają się wynosić, bo bez trudu znajdzie lokatorów, którzy będą mu płacili w terminie. Ośmielony zmęczonym milczeniem Klottyldy, dorzucił jeszcze parę słów na temat lekkoduchów, co to zdychają bez grosza przy duszy. Kiedy w końcu wyszedł, zapadła cisza. Stella udawała, że jest całkowicie pochłonięta przyszywaniem urwanego guzika. Jej macocha usiadła na krawędzi łóżka i patrzyła przed siebie otepiałym wzrokiem.

Stella sprawdziła, czy guzik mocno się trzyma, przegryzła nitkę i w końcu podjęła decyzję.

– Pójdę do tego całego Wachsa – powiedziała powoli.

Klottylda drgnęła, jakby ją ktoś ukłuł.

– Nie, dziecinko. Nie ma mowy.

Dziewczyna podeszła i uklękła przy niej.

– Jaki mamy wybór? Powiedz mi, gdzie on mieszka. Proszę.

Macocha długo milczała, potem przytuliła ją mocno.

* * *

Raz podjętej decyzji nie było sensu odwlekać. Stella spakowała do węzełka kilka drobiazgów i wzięła z wieszaka płaszczy.

Śnieg padał coraz gęściej, jakby chciał zamknąć miasto w białej trumnie.

Odnalazła dom znajdujący się pod wskazanym adresem. Był to stary drewniany budynek z pomalowanymi na czarno okiennicami. Nad wejściem kołysał się wyblakły szyld przedstawiający lalkę w koronkowej sukience. Dziewczyna długo chodziła tam i z powrotem po ulicy, bojąc się zastukać do drzwi.

Musisz, powiedziała sobie twardo.

Już prawie zdobyła się na to, żeby ująć kołatkę, kiedy usłyszała za sobą głos.

– Psst! Panienko!

Ktoś nieduży i od stóp do głów okutany łachmanami wychylał się z pobliskiej bramy, dając jej znaki, żeby podeszła. Stella zbliżyła się nieufnie. Wzdrygnęła się na widok czerwonej, pokrytej krostami skóry i wyłupiastych ślepi stworzenia, które tylko z grubsza przypominało ludzkie dziecko.

Podrzutek. Na południu, w rodzinnych stronach Fredrika, te nieszczęsne istoty zabijano tuż po urodzeniu, uważając je za dzieło diabła. W Ziegelbergu często można było napotkać wyrosnięte podrzutki grzebiące w śmietnikach albo zebrzące na rogach ulic. Stella bała się ich. Nie tylko dlatego, że szokowały brzydotą. W ostatnich miesiącach nieraz myślała z dreszczem, że niedługo sama może nie mieć domu i żyć tak jak one.

– Panienko, nie chodź tam – powiedział podrzutek. Na ile dawało się stwierdzić, nie miał zębów, jego usta były szeroką szparą bez warg. Wymawiał słowa z dziwną, mlaszczącą intonacją, tak że ledwie można było go zrozumieć.

– Czemu?

– Włóczęga – odparło stworzenie. Zadarło głowę, wpatrując się w jakiś punkt w górze. Stella także uniosła wzrok i poczuła dreszcz.

Włóczęga siedział na kalenicy domu, ledwie widoczny w padającym śniegu. Jego oblicze jak zawsze zasłaniał szal, ale dziewczyna mimo odległości dostrzegła utkwione w sobie blade punkciki oczu.

– Czego chcesz? – spytała, zebrawszy się na odwagę. Milczał, nie odrywając od niej wzroku.

Kątem oka dostrzegła ruch – to podrzutek wybiegł z bramy. Nogi miał zbyt krótkie w stosunku do reszty ciała, przez co poruszał się niezgrabnie, kaczkowatym chodem.

Czyjaś ręka opadła na ramię Stelli; ta aż podskoczyła ze strachu.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjść – oznajmił Markus Wachs. – Wejdz do środka. Na pewno zmarzłaś.

Ujął jej dłoń, uśmiechając się zapraszająco. Stella zamarła.

Włóczęga...

– Włóczęga – szepnęła niemal mimo woli.

– Co takiego? – Wachs podniósł głowę i twarz mu się zmieniła. Wysyczał kilka niezrozumiałych słów, chyba w obcym języku. Włóczęga oderwał się od dachu i poszybował w noc.

– Zapraszam – powiedział lalkarz jakby nigdy nic. Oszołomiona Stella usłuchała.

W nieczynnym sklepie było ciemno, tylko przez półotwarte drzwi zaplecza wpadała smuga światła, w której można było dostrzec dziesiątki lalek – od zwykłych małych, poustawianych rzędami na półkach, po takie rozmiarów człowieka. Stella odniosła wrażenie, że wszystkie mają na sobie wytworne stroje.

Wachs wprowadził ją na zaplecze, gdzie pachniało farbą, klejem i wiórami. W podłodze czerniał otwór z uchyloną klapą; dziewczyna domyśliła się, że niżej, w piwnicy, znajduje się warsztat lalkarza. Przechodnie pomieszczenie za sklepem pełniło najwyraźniej funkcję magazynu. Stały tu skrzynie, klocki nieobrobionego drewna, leżało trochę narzędzi. Pod ścianą Stella ujrzała kilka manekinów różnej wielkości, ubranych w przypadkowe części odzieży; największy miał na sobie kurtkę od czerwonego huzarskiego munduru i damski kapelusz ozdobiony pękiem sztucznych róż. Na starym stole wały się porcelanowe i drewniane główki, jedne z włosami, inne bez. Obok paliła się naftowa lampa. Wachs zabrał ją i wszedł na schody prowadzące na górę, dając dziewczynie znak, żeby szła za nim. Piętro wyżej odryglował kolejne drzwi.

– Zapraszam – powtórzył.

Mieszkanie nad sklepem od progu tchnęło dziwną aurą – mieszaniną dostatku i zaniedbania. Wszystko przepajał zastarzały zapach dymu tytoniowego. W

przedpokoju na stoliku pod zakurzonym lustrem stały dwie lalki w kostiumach baletnic.

– To Stina i Lina – powiedział Wachs. – Daj mi płaszcz.

Pomógł jej wyplątać się z zimowego okrycia. Stella przyglądała włosy, boleśnie świadoma, jak bardzo widać po niej biedę.

Lalkarz wprowadził ją do salonu, gdzie w kominku płonęły drwa. Tu również panował nieład; Klotylda określiłaby ten pokój jako potrzebujący kobiecej ręki. Z popielnicy na stole wysypywały się niedopałki cygar, obrus był poplamiony, mebli nie wycierano od dawna. W oczy rzucały się też przejawy ekscentrycznego gustu właściciela. Na ścianie wisiał zegar z kukułką pomalowany we wszystkie barwy tęczy oraz obraz przedstawiający obdarte dziecko ze skrzydłami anioła. Przy drzwiach stała oszklona gablota z kolekcją ołowianych żołnierzyków, a w kącie naprzeciwko, obok pianina – lalka ubrana jak elegancki paż, w żółtym kubraku z wielkimi mosiężnymi guzikami.

Wachs zapalił gazowe lampy po obu stronach kominka, po czym podniósł stojący na komodzie dzwonek i zadzwonił nim donośnie.

– Kurt, chodź tu! – zawołał.

Stella zatrzymała się, żeby popatrzeć z bliska na chłopca w żółtym kubraku. Jego ciemnoblonde włosy wyglądały na prawdziwe, a delikatnie pomalowaną porcelanową twarz niemal można było pomylić z obliczem żywego człowieka. Poczowała podziw dla kunsztu lalkarza.

Do pokoju wsunął się zgarbiony młodzieniec w zniszczonym, powalonym farbą ubraniu. Gdy podniósł głowę, Stella z trudem powstrzymała się od krzyku, widząc sterczące z czoła nieregularne narośle i nos niemal pozbawiony części chrzęstnej, o wielkich, małych dziurkach. Młody mężczyzna był podrzutkiem.

– To Kurt, mój czeladnik – powiedział Wachs. – A to Joachim. Joachimie, ukłoń się panience.

Chłopiec w żółtym kubraku wyprostował się z cichym zgrzytem mechanicznych części. Jego powieki uniosły się, odsłaniając wypukłe brązowe oczy. Ukłonił się, szurając nogą. Ruchy miał zaskakująco płynne.

– Joachim to mój majstersztyk – wyjaśnił lalkarz. Końcami palców zmierzył grzywkę chłopca. – Liczy sobie już prawie dwadzieścia lat. Usiądź, Stello, czemu stoisz? Chłopcy, podajcie panience kolację. Ja muszę zajrzeć do warsztatu.

Wyszedł. Kurt i Joachim zakrzętnęli się i stół w mig został nakryty; stanęły na nim ser, wędlina i pokrojony chleb, masło, talerz pachnącego drożdżowego ciasta (Stella poczuła, że ślina napływa jej do ust), imbryk z herbatą oraz filiżanki.

– Smacznego, panienko – powiedział Kurt. – Pan jest zajęty, wróci dopiero za jakiś czas.

Posiłek smakowałby Stelli bardziej, gdyby obaj nie obserwowali jej, gdy jadła. Zwłaszcza beznosy czeladnik budził w niej obrzydzenie. Biła od niego woń zatęchłego potu, farby, kleju i nie wiedzieć czego jeszcze. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy w drzwiach salonu znowu stanął Wachs, a Kurt, jakby w odpowiedzi na milczący rozkaz, wysunął się z pokoju.

Lalkarz zajął miejsce przy stole.

– Jeszcze herbaty? – spytał. Nie czekając na odpowiedź, napełnił jej filiżankę oraz nalał sobie.

– I jak, czujesz się już troszkę lepiej? – spytał, patrząc na Stellę z życzliwym uśmiechem, który sprawił, że jego ospowata twarz wydała się dziewczynie nieco mniej brzydka.

– O tak, dziękuję. – Stella zaczerwieniła się, wyczuwając, że jego wzrok po raz kolejny prześliznął się po jej ostrzyżonych włosach i znoszonej sukience. Ale odniosła wrażenie, że lalkarz patrzył raczej ze współczuciem niż z litością. Pomyślała, że być może Fredrik miał rację – może mogłaby z czasem polubić Wachsa, nawet jeśli miał dziwny dom i dziwnych służących. W końcu był przyjacielem jej ojca, a to coś znaczyło.

Dopiła herbatę. Pierwszy od dawna solidny posiłek rozleniwił ją, zaczynała się robić senna.

Wachs skinął na chłopca w żółtym kubraku.

– Joachimie, zagraj nam coś. Może tę sonatę, której uczyłeś się ostatnio?

Joachim posłusznie odrzucił pokrywę pianina i zasiadł na okrągłym stołeczku. Chwilę trwał w bezruchu, a gdy jego porcelanowe palce zatańczyły po klawiszach, zdawało się, że nawet ogień w kominku przygasł w lirycznym zamyśleniu.

Stella poczuła narastającą senność. Melodia, ciepło wypitej herbaty oraz cichy trzask płomieni spletały się w hipnotyzującą kołysankę.

Dziewczyna przymknęła oczy. Nawet nie wiedziała, kiedy oparła głowę na stole.

* * *

Obudziło ją zimno i głuchy bulgot. Zanim do końca odzyskała przytomność, już wiedziała, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku.

Nie mogła się poruszyć.

Z trudem uniosła dziwnie ciężkie powieki i zalał ją mróz. Była rozebrana do bielizny i przykuta do metalowego fotela, wyposażonego w obejmę na szyję, nadgarstki i kostki. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, pozbawione okien i oświetlone migoczącym płomieniem lampy gazowej, wyglądało jak piwnica. Ze ścian łuszczył się tynk, a byle jak zbite z desek schody prowadziły do zamkniętych drzwi.

Głuchy, nieprzyjemny dźwięk zabrzmiał znowu. To lepka bursztynowa ciecz pulsowała bąblami w dużej szklanej bani. Z naczynia brały początek liczne rurki. Jedna z nich zakończona była długą igłą, której koniec – Stella wzdrygnęła się – tkwił wbity w żyłę na grzbiecie jej dłoni.

Zabrzmiał metaliczny odgłos, jakby przekładanych sztucców. Dziewczyna z wysiłkiem przekręciła głowę.

Najpierw zobaczyła, że na posadzce wokół fotela wymalowano czerwoną farbą symbole układające się w skomplikowany wzór. Potem ujrzała niewielki stolik, nad którym pochylał się Markus Wachs. Szczekał drobnymi metalowymi narzędziami, rozkładając je na tacy.

– O, zbudziłaś się – stwierdził obojętnie. – Ale to już bez znaczenia.

– Co chcesz ze mną zrobić? – wykrztusiła Stella.

Na ospowatej twarzy lalkarza wykwitł złowróżbny uśmieszek.

– Trzeba ci wiedzieć, drogie dziecko, że sam car Russevii raczył niedawno złożyć u mnie specjalne zamówienie. Pragnie ofiarować swojej najmłodszej córce piękny prezent na siódme urodziny. – Wachs uniósł nóż o cienkim ostrzu i delikatnie przesunął wzdłuż niego kciukiem. – Umiem sporządzać lalki na sposób praski: figury z drewna i porcelany, które tańczą i wykonują proste czynności, ale to pracochłonne i prymitywne. Dla najdostojniejszych klientów mam coś lepszego: lalki, których na pierwszy rzut oka nie da się w ogóle odróżnić od ludzi. Sam opracowałem autorską recepturę na podstawie pewnego egipskiego papirusu. – W jego głosie zabrzmiała duma. – Wprowadzam do krwi specjalny, bardzo kosztowny płyn, który po zastygnięciu utrwała tkanki. Znaki i zaklęcia służą do tego, żeby uwięzić duszę w ciele, które dzięki temu zachowuje zdolność ruchu i mowy. Wymieniam tylko oczy na szklane, bo oczy zbyt trudno zakonserwować.

Stella zamrugła, czując wzbierające łzy.

– Ty oszuście! Mój ojciec ci zaufa!

– Ależ nie okłamałem Fredrika. Będziesz bardzo szczęśliwa. Lalki nie czują głodu, zimna ani smutku.

Drzwi zaskrzypiały i do warsztatu wsunął się Kurt. Zszedł po schodach i popatrzył obojętnie na spętaną dziewczynę. Wachs odwrócił się do niego.

– Tu masz klucz od kasy pancерnej. Zanieś Klottyldzie Fenchel trzysta marek i ten list.

Czeladnik kiwnął głową i wyszedł, powłócząc nogami.

Stella nie umiała dłużej powstrzymać szlochu, który dławił ją w gardle. Markus Wachs podszedł do fotela i musnął jej policzek końcami palców.

– Nie płacz. Będziesz śliczną lalką.

Przekręcił dźwignię przy bani i poziom bursztynowej cieczy zaczął się obniżać. Stella poczuła zimne, bolesne mrowienie w dłoni, które szybko rozszerzyło się, obejmując przedramię, potem rękę aż po bark.

Chciała krzyczeć, ale nieprzyjemne uczucie rozlewało się już po całym ciele i płuca nie chciały jej słuchać, nie mogła złapać tchu. Pałący ból wybuchł za mostkiem i straciła przytomność.

* * *

Płynęła, opadała przez obrazy, niewyraźne, rozmyte jak rysunek atramentem na zalanej wodą kartce.

Szydł z królikiem w cylindrze i stojący pod nim roześmiany Fredrik.

Dorożki sunące ulicą, obojętni przechodnie.

Klotylda wyciągająca ręce w otwartym oknie kamienicy.

Blade oczy Włóczęgi – nikną wśród wirującego śniegu....

Tylko sen...

– Panienko, panienko – usłyszała pełen nacisku szept. – Słyszysz mnie panienka?

Stella ocknęła się. Nic jej nie bolało, czuła się dziwnie lekka.

Nad sobą ujrzała schyloną twarz o dużych brązowych oczach i namalowanych rumieńcach.

– Ty... mówisz? – szepnęła osłupiała.

Joachim, wyraźnie przestraszony, zignorował pytanie.

– Prędko, proszę wstać! Mamy mało czasu!

Przecież nie mogę... jestem przykuta... Ale odruchowo, na wpół świadomie Stella próbowała usłuchać – i oderwała się od fotela.

Chwilę trwało, zanim pojęła, co się stało, spojrzawszy na swoje ręce. Była już tylko istotą z mgły, ledwie widocznym zarysem. Duchem.

– Ale jak...? – wyjąkała, patrząc na porcelanowego chłopca.

– Uszkodziłem wzór. – Joachim wskazał wymalowane na posadzce znaki. Kilka zostało zamazanych; obok stało wiaderko z farbą i pędzel. – Nie wiedziałem, czy to wystarczy, ale się udało. Proszę, panienko, uciekaj! On zaraz wróci.

Do Stelli jakby nie dotarło, co powiedział. Podpłynęła do sylwetki przykutej do fotela, przykrytej teraz po szyję poplamionym czerwienią prześcieradłem. Z niedowierzaniem popatrzyła na twarz, do niedawna swoją. Oczy zostały już usunięte, w ich miejscu ziały krwawe dziury.

Chciała zamknąć martwej dziewczynie powieki, ale jej niematerialne palce przenikały przez przedmioty, zamiast ich dotknąć.

– Uciekaj! – syknął Joachim. – Prędko, na co czekasz? Nie wiesz, jaka to męka tkwić w ciele lalki!

Stella popatrzyła na niego uważniej, tknięta budzącą chłód myślą.

– Ty jesteś...?

Spuścił głowę.

– Może ta porcelanowa skorupa to jego majstersztyk sprzed dwudziestu lat, ale ja jeszcze pół roku temu byłem człowiekiem jak ty, ulicznym muzykiem bez grosza przy duszy. Wachs zwabił mnie tu, obiecał kolację, pieniądze... Uśpił mnie, dosypując czegoś do jedzenia, a nazajutrz ocknąłem się już w tej postaci. – Jego głos drżał z emocji. – Ostrzegłbym cię, gdybym wiedział, co zamierza, ale on się tak świetnie maskuje... Zorientowałem się dopiero, kiedy zapadłaś w sen.

– Wachs nie domyśli się, że to ty mnie uwolniłeś? Nie ukarze cię?

Oblicze porcelanowego chłopca zastygło w wyrazie smutnej zawziętości.

– Och, niech się wścieknie i mnie zniszczy! O niczym innym nie marzę.

Nagle rozległy się ciężkie kroki i w zamku drzwi zazgrzytał klucz.

– Uciekaj! – krzyknął Joachim, a Stella tym razem usłuchała. Wzbiła się jak smuga dymu; bez trudu przepłynęła przez sufit warsztatu do sklepu pełnego milczących lalek, a stamtąd przez zamknięte okiennice na zewnątrz. I w górę, w górę, ku wolności, ku niebu.

Zupełnie nie czuła mrozu. Śnieg przestał padać, chmury rozstępowały się, czarny przestwór migotał gwiazdami.

Gdy Stella wzleciała wysoko, zatrzymała się olśniona pięknem tego, co rozciągało się w dole. Morze ośnieżonych dachów, gdzieś dymiące kominy, szpice dzwonnicy.

Jak w moim śnie.

Z ukłuciem w sercu pomyślała o Klotyldzie, być może czytającej właśnie list od Wachsa. O trzystu markach, które przynajmniej pozwolą jej zacząć życie od nowa.

A ja? Dokąd się udam? Śmiało, dziewczyno! Cały świat stoi przed tobą otworem! Stella miała ochotę się rozplakać i roześmiać jednocześnie, targnięta histeryczną, wisielczą wesołością kogoś, kto nie ma już nic, ale to nic do stracenia.

I wtedy go wypatrzyła; płynął majestatycznie, spowity peleryną i szalem, oddalając się wraz z odpływającym wałem chmur.

– Zaczekaj! – zawołała, przekrzykując wiatr. – Arne, zaczekaj! Proszę!

Włóczęga odwrócił się i zawisł bez ruchu. Błado świecące oczy widoczne ponad skrajem szala wydawały się przewiercać ją na wylot.

Stella zbliżyła się do niego, pełna wątpliwości, czy dobrze robi. Zasłonięte oblicze budziło w niej dreszcz, ale pamiętała swój sen.

– Weź mnie ze sobą, Arne – powiedziała nieśmiało.

Gdy już prawie straciła nadzieję, że odpowie, on przemówił ledwie słyszalnie, głosem podobnym do podzwaniania sopli.

– Nieszczęsne dziecko... Tam, dokąd odchodzę wraz z chmurami, czeka tylko pustka. Kim jesteś? Nie znam cię.

Stella poczuła, że ogarnia ją rozpacz, gorzka i ostateczna. *Mój sen kłamał, bo i czemu miałoby być inaczej.*

Ale nie spuściła wzroku.

Patrzyli na siebie bardzo długo. Włóczęga poruszył się pierwszy.

– Chodź – powiedział, wyciągając rękę. I choć dłoń wydawała się przejrzysta jak dym, Stella poczuła, że jego palce są ciepłe.

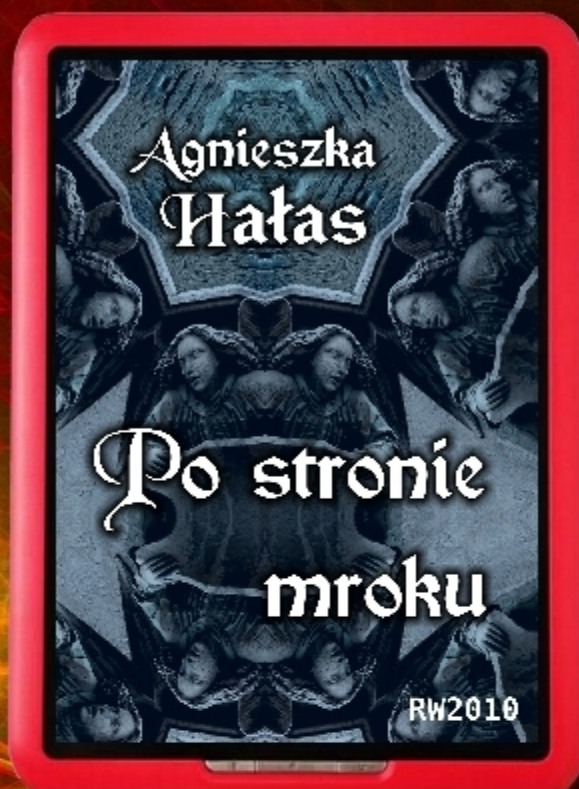
Dwie sylwetki odpłynęły w zimową noc. Ciemność zamknęła się za nimi jak kurtyna.

Autorka zaprasza na blog: <http://halas-agn.blogspot.com> . Znajdziecie tam miniartykuły z dziedziny magii, alchemii i historii medycyny, zdjęcia przyrody i zabytków, wiersze oraz inne ciekawe rzeczy.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń na każdy czytnik

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieże zaświatów. Zachowajcie czujność. Demony czyhają.



Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach obleżonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie
szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach**

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!